

MAM DOM W KAŻDYM MIEŚCIE

Rozmowa z JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ



DANUTA NOWICKA
dnowicka@nto.pl

- Redaktorzy kolejnej encyklopedii będą musieli wprowadzić korektę do hasła „Joanna Szczepkowska” i dopisać „pisarka”. Dziewięć książek, które wyszły spod pani pióra, to już liczący się dorobek.

- Myślę, że pisarz to wielkie słowo. Gdybym na nie zasługiwała, byłabym bardzo szczęśliwa.

- Odezwały się geny? Pani dziadkiem był przecież Jan Parandowski, specjalista od antyku...

- Niewykluczone. A może na moje zainteresowania wpłynęła bliskość książek, obecność literatury, nawet w bardzo prozaicznych sytuacjach. Podczas gdy jedni przy goleniu śpiewają, mój ojciec mówił wiersze. Sądzę, że wszystko to się zbieгло z moją wrażliwością literacką.

- Ojciec, Andrzej Szczepkowski, nauczył panią alfabetu. Trzeba przyznać, że była to nauka dość swawolna, bo oparta na tekście: „Jedzą, piją, lulki palą, tańce, hulanki”...

- Rzeczywiście. Nauczył mnie „Pani Twardowskiej” na pamięć, a ja potem przekładałam głoski na litery.

- Rezultat był taki, że gdy tylko opanowała pani naukę pisania, dziadek na imieniny otrzymywał opowiadanie.

- Zawsze tego oczekiwał, a potem zamykał się w swoim pokoju i analizował. Kiedy z niego wychodził, wypowiadał tylko jedno zdanie: „Ty będziesz pisać”.

- Nigdy nie było mowy o postępach, jakiegos szczególnego komentarza?

- Nie. Był człowiekiem skupionym na pracy, oszczędnym w słowach. Poza takimi przypadkami, kiedy przygotowywał jakąś mowę. Wiele lat był przecież wiceprezesem światowego PEN Clubu.

- Ojciec udzielał także pani lekcji prawdziwej historii.

- Myśli pani o Wolnej Europie? Słuchał, a ja się temu przyglądałam i jako dziecko nie bardzo rozumiałam, dlaczego wybiera stację, która tak skrzeczy i szumi. Nigdy mi tego nie wytłumaczył, zareagował dopiero wówczas, kiedy powiedziałam, że zapytam nauczycielkę. Usłyszałam,

że takie słuchanie jest zakazane. Oczywiście trudno mi to było zrozumieć.

- Przyszł czas, kiedy naukę potwierdziło życie. Podczas manifestacji studentów.

- W 68 roku pierwszy raz uciekłam z domu. Nie mogłam nie być tam, gdzie się działy rzeczy, które przypominały mi opowieści o powstaniach, gdzie panował tego rodzaju klimat. Rodzice bardzo się o mnie bali, ale nie mogłam się powstrzymać. Znalazłam się na Krakowskim Przedmieściu w samym centrum zdarzeń. Cały czas wydawało mi się to nierealne, niemożliwe, ale nagle zobaczyłam wzniesioną pałkę i strasznie dostałam... Dla mnie, rozpieszczonej jedynaczki, to było mocne przeżycie. Do tego momentu nie do końca rozumiałam, że żyję w kraju rozdwójonym.

- Na tym tle łatwiej zrozumieć wydarzenie, dzięki któremu o pani poglądach dowiedziała się cała Polska. Myślę o słynnej, wygłoszonej w telewizji kwestii, że skończył się komunizm.

- Rzeczywiście dla wielu było to zaskoczeniem, że akurat ja, że tego rodzaju słowa, bo nie wszyscy znali moje życie, nie orientowali się, jak silnie jestem związana np. z KOR-em, że choćby ze względu na przyjaźń z Haliną Mikołajską biorę udział w pracach podziemia. I że była to jedynie konsekwencja moich poglądów. Następnego dnia rozdzwoniły się telefony.

- Jak doszło do tego wystąpienia?

- Każdej soboty telewizja emitowała wywiad z jakąś znaną osobą. Kiedy zwrócono się do mnie, pomyślałam, że jeżeli się zgodzę, to właśnie w tym celu. Do ostatniej chwili trzymałam swój zamiar w tajemnicy.

- Pani mama także działała w strukturach podziemnych. Doskonale znała ks. Popiełuszkę.

- Nie tylko ona. Ksiądz Popiełuszko był u nas prawie w każdą niedzielę. To był ktoś ciągle w biegu, w gorącym pośpiechu, gotów wszystkim pomagać – był jak ognisko, wokół którego skupiali się potrzebujący. A równocześnie potrafił wprowadzić w stan niebywałego skupienia. Krótco przed mszą stawał się skoncentrowany – zmieniał mu się wyraz twarzy i wiedzieliśmy, że nie należy do niego podchodzić. To się wyraźnie czuło.

- Przypomina pani sobie jakieś „domowe” zdarzenie z jego udziałem?

- Było ich bardzo dużo. Moim dzieciom przynosił przeróżne zabawki, kupowane na odpustach. Zawsze bardzo chętnie słuchał, co działo się w domu. Najwyraźniej tego mu brakowało. Lubił być w zwykłej, rodzinnej atmosferze.

- Po ponad stu rolach w filmie, teatrze i telewizji cieszyła się pani powszechną sympatią i uznaniem. Co panią pchnęło w kierunku literatury? Co takiego znalazła pani w pisaniu, czego nie było na scenie?

- Każda książka to moje własne przedstawienie, podczas gdy teatr zawsze jest wynikiem kompromisu, czasem bardzo bolesnego. Jest tworzywem dla reżysera, scenografa, innych aktorów, wynika z literatury, którą się gra. Część, którą ma sobą zapełnić aktor, jest dla mnie niewystarczająca; muszę kreować swój świat, pokazać własne dzieło od początku do końca. Nawet gdy może się wydawać dziwaczne, jest moje. Pisząc, w pewnym sensie tworzę własne przedstawienia.

- Od lat podpisuje pani felietony w „Wysokich Obcasach”.

- Zaproponowano mi, jako jednej z kandydatek, napisanie kilku próbnych tekstów. No i przesłałam.

- Dopóki nie znalazłam pani książek, myślałam: znowu ktoś z teatru zabrał się do pisania, widać taka moda. Po lekturze zrozumiałam, że popchnął panią talent.

- Dziękuję. Staram się nie kierować uwagi ani na teatr, który jest mi najbliższy, ani na własną osobę. Nie promuję siebie. Ma to być głos w różnych sprawach. Bardzo mi na tym zależy.

- Przed miesiącami zdecydowała się pani wejść na głęboką wodę i stworzyć powieść. Trzeba było porzucić cyzelowanie małej formy i pointowanie, w którym jest pani mistrzem. Zdecydowała się pani złożyć wyznaczenie tytułem – „Kocham Paula Mc Cartneya”.

- Tytuł nie ma znaczenia w sensie dosłownym. To tylko hasło, które jako nastolatka wypisywałam na murach i na klatkach schodowych, sposób wprowadzenia w klimat dawnych lat. To książka, która powinna pozostawić ślad PRL-owskiej ulicy.

- Sądzi pani, że gotowość do zmian, do podejmowania się różnych ról w życiu to skutek zdiagnozowanego ADHD?

- Bronię się przed takim stwierdzeniem, bo w moim przypadku ADHD ogranicza się do zespołu dekoncentracji uwagi, bez nadpobudliwości psychoruchowej. Ale rzeczywiście gotowość do dokonywania zmian jest dla mnie przyjemnością i udręką.

- Pani dziadek był pisarzem, babcia – śpiewaczką operową, ojciec – aktorem. Podobno w rodzinie byli także rzeźbiarze, a nawet brazylijscy tancerze.

- No tak, było wielu artystów.



TEATR RZECZYWIŚCIE POSIADA CECHY DOMU, RODZINY I JEGO NIEOBECNOŚĆ DLA KOGOŚ, KTO SIĘ W NIM WYCHOWAŁ, POTRAFI BARDZO DAĆ SIĘ WE ZNAKI

Rzeźby brata mojego dziadka stoją przed Teatrem Wielkim w Warszawie.

- Było też sąsiedztwo, które panią poniekąd określiło. W domu przy Filtrowej mieszkali Dziewoński, Bielicka, Kwiatkowska.

- Toteż w dzieciństwie uważałam, że kiedy człowiek dorośnie, zostaje aktorem. Urodziłam się w kamienicy oddanej przez miasto aktorom i było to dla mnie środowisko naturalne.

- Musiało być wesoło...

- Naturalnie. Trzeba pamiętać, że to były lata 60., czas, kiedy ludzie jeszcze odreagowywali wojnę. Kamienica żyła jak jedna, rozbawiona rodzina. Dzień zaczynał się o piątej, kiedy to gamami budziła nas Wanda Wermińska, wybitna śpiewaczka operowa, potem w wielkim kapeluszu wychodziła Hanka Bielicka i machała wszystkim: „Pa, dzieci, do widzenia!”

- A Kwiatkowska?

- Jej życie nieustannie obracało się wokół pracy. Przychodziła do nas, by wygłaszać swoje monologi. Mama miała na to oko.

- Podobno w tamtych czasach pochody 1-majowe odbywały się na pani cześć.

- Ojciec tak tłumaczył, bo urodziłam się 1 maja, a była bardzo podatna na takie opinie. Wprowadził bardzo dużo humoru i dystansu w moje życie.

- Pani śladem poszły obie córki.

- To jest już inne pokolenie, aktorstwo jest dla nich jedną z kilku dróg. Hania, młodsza, ukończyła m.in. etnologię i choć gra w teatrach „Polonia” i „Druha Strefa”, wciąż studiuje, Marysia, po psychologii społecznej, także startuje w tym zawodzie. Obie, jak widzę, nie powiedziały ostatniego słowa i wciąż szukają. Nie jestem w stanie im pomóc – przyjął zasady ojca, który uważał, że nie korzysta się ze

swojego nazwiska i pozycji. Sama także o nic nie zabiegam, nie występuję w reklamach, nie gram w serialach.

- Często się panie spotykają?

- Miałam bardzo silną więź ze swoją mamą, odnoszę wrażenie, że czasami aż za silną, więc próbuję żyć inaczej. Odcinanie powiny jest bardzo trudne, ale konieczne. Zawsze możemy na siebie liczyć – to naturalne – ale staramy się na sobie nie „wisieć”.

- Między innymi próbuje pani teraz u Lupy. Po dłuższej pauzie nastąpił powrót do teatru.

- Tylko czy na stałe? Nie wiem...

- Czy nie wzięło się to także z tęsknoty za oklaskami, za sceną, za życiem zwielokrotnionym?

- Oczywiście, że tak. Przerwy w graniu, we wchodzeniu w inną osobowość zawsze kończyły się dla mnie dziką tęsknotą. Bez tego – bez sceny, istnienia w różnych skórach, w różnych światach – traci się poczucie bezpieczeństwa do tego stopnia, że można wpaść w depresję. Tak, to jest tęsknota za życiem zwielokrotnionym...

- Można by sądzić, że takie sytuacje niosą z sobą psychiczne rozchwianie, a pani mówi o poczuciu bezpieczeństwa?

- Wprawdzie niechętnie wracam do dzieciństwa, bo wszyscy mnie o nie pytają, a ja już jestem dużą dziewczynką, powiem jednak: kiedy byłam małą, ojciec mi powiedział: „Pamiętaj, że jeśli się zgubisz w jakimś mieście, zawsze możesz pójść do teatru. Jako dziecko aktora w każdym mieście masz dom”. To była uwaga, która do dzisiaj znajduje zastosowanie. Teatr rzeczywiście posiada cechy domu, rodziny i jego nieobecność dla kogoś, kto się w nim wychował, potrafi bardzo dać się we znaki. Trzeba pamiętać, że my, aktorzy, spotykamy się z oddziaływaniem własnych emocji. Jesteśmy ze sobą nie chłodno, towarzysko, formalnie, lecz emocjonalnie. Wspólnie przeżywamy radość, wstyd, żal. Znamy się jak najbliższa rodzina. Chemia, która między nami powstaje, jest ogromną siłą. Co kilka lat próbuję się z niej wyzwolić, zostaję sama, choćby po to, żeby coś napisać, a potem wracam. Niekoniecznie do teatru, do miejsca, tylko żeby być z ludźmi, których tam zastanę.

Dziś o 18.00 Joanna Szczepkowska spotka się z Opolanami w drukarni Opoligraf w ramach cyklu „Fabryka inspiracji”.

SYLWETKA

Joanna Szczepkowska – aktorka teatralna i filmowa. Debiutowała jako studentka PWST w głównej telewizyjnej inscenizacji „Trzech sióstr”. Zagrała ponad sto ról. Najwyżej oceniono jej kreacje na scenach teatrów Współczesnego, Polskiego i Powszechnego w Warszawie. Poetka, autorka monodramów „Gofa baba” i „Joanna Szczepkowska kontra fortepian”, zbiorów opowiadań i powieści „Kocham Paula Mc Cartneya”.